XXIII. Kraków, 1 maja 1920 r. Nr. 9

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 17 M. 10 f. Do Ameryki rocznie 6 dolarów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 1·40, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 2, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 2·80, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 7.

Numer pojedynczy 3 Marki. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 3 Marki.



ON. I jesień życia ma swoje powaby. Ty możesz być jako ten bluszcz owijający się...
ONA (kończy): — — dookoła suchego patyka!... Dziękuję ci!



Ministeryalne wizyty.

Galicya nie może narzekać, że Warszawa o niej nie pamięta! W ostatnich czasach odwiedził nas pan minister Grabski, zjadł obiad jeden i drugi i zapowiedział, że o Małopolsce nie zapomni.

Zupełnie to samo powtórzył pan minister handlu i przemysłu, chwaląc naszą kuchnię i dobór potraw, i zapewniając, że „Małopolska leży mu stale... na sumieniu".

Jota w jotę powtórzyło się to samo z okazyi odwiedzin ministra sprawiedliwości. Ten nie obiecywał wprawdzie, że o nas nie zapomni, zapamięta przecież dobrze Galicyę, gdyż ze Sokolnik musiał dymać do Lwowa piechotą więcej niż milę z powodu zepsucia się automobilu.

Wreszcie zapowiedział nam wizytę pan minister kultury i sztuki. Takiego jeszcze między sobą nie widzieliśmy. Na przyjęcie dostojnego gościa obsadzono drogi obok Lwowa na gwałt wierzbami, aby w ten sposób nadać im „swojski charakter". Ukraińcy twierdzą, że to „polska intryga", Polacy chcą bowiem w ten sposób przekonać ministra, że to kraj polski, gdy to tymczasem ziemia „odwiecznie ukraińska". Wystarczy przysłuchać się, jak w tej części kraju śpiewają słowiki, a każdy nieuprzedzony musi przyznać, że z „wybitnie ukraińskim akcentem", zwłaszcza w pasażu: *„Naser... mater... ter... ter... ter... Na twoju mat'... Cip... cip... cip!..."*

Pan wiceminister spraw zewnętrznych był także, ale jego nic nie obchodzi, co się dzieje wewnątrz kraju, nie obiecywał też, że o Małopolsce nie zapomni.

Zatem w górę serca!... Panowie ministrowie nie zapomną o nas, więc i my będziemy ich długo pamiętać!... Zwłaszcza pana ministra skarbu.

W każdym razie musi się przyznać, że w aptece pana prezydenta Skulskiego nie brak środków na uspokojenie i rozweselenie. Ceny przystępne, usługa skrzętna i uprzejmą.

Ciekawy.

(Dyalog.)

— Wyobraź pan sobie, co za nieszczęście!... Moja żona czyściła rękawiczki benzyną i niewiadomo z jakiego powodu benzyna się zajęła. Biedaczka opaliła sobie wszystkie włosy..

— Czyż być może?!... I na głowie także?...

Pomysłowy ekspres.

— Halo! ekspres! który numer?
— Mam numero sto i trzecie!
— Oto list! pod tym adresem
List ten zaraz zaniesiecie!

Takie polecenie daje
Młoda panna dla ekspresa,
Z których każdy rad załatwia
Rozmaite interesa.

— „Ten pan ma wam dać pieniądze
Te pieniądze mi przyniesiecie!...
Ekspres patrzy na kopertę,
Kręci głową aż rzekł wreszcie:

„Mam ja chodzić po próżnicy,
Na ulicy lepiej *siednę;*
Nie znam go to z przeproszeniem:
Ma na sobie portki jedne.

On nic nie da — mówże pannie,
Szkoda nóg mych i fatygi,
Ale ja tu znam innego,
Co zapłaci w trygi-migi!...

O! pan bardzo sprawiedliwy
I nic nie chce mieć daremno.
Tam to pójdę, ale panna
Musisz także iść tam ze mną!...



Dlaczego mleko w Krakowie jest „pod psem"?

Problem ten, nad którego rozwiązaniem łamało sobie głowę już wielu ludzi, mniej lub więcej uczonych, rozstrzygnęła dopiero obecnie panna Stasia, w wypracowaniu domowem na temat *„Legenda o św. Janie Kantym"*.

Pisze tam panna Stasia, jak następuje:

„Święty Jan Kanty wybrał się pewnego razu, jeszcze za swego życia, na spacer w okolice Krakowa, który już wtedy leżał w tem samem, co i dziś miejscu. Gdy wracał do miasta, spostrzegł na drodze płaczącą rzewnie dziewczynkę, trzymającą w ręce próżny dzbanek. Na zapytanie o powód łez, odrzekła, że służy u jednej bardzo pyskatej mieszczki z Łobzowa, która codziennie wysyła ją do miasta, aby sprzedawszy tam mleko, kupiła za te pieniądze krupek i soli. Te wiktuały można wtedy było nabywać bez kartek.

I dziś szła też do miasta w tym celu, a że właśnie wypadało święto Matki Boskiej, chciała przybrać Jej figurę w kwiatki. Podczas tego dzbanek się przewrócił, a mleko wylało. Dlatego płacze, bo nie wie, co począć, a do domu wracać się boi z próżnemi rękami.

Święty Jan Kanty ulitował się nad nią, kazał pójść do najbliższej studni, bo wodociągów wówczas jeszcze nie było i napełnić dzbanek wodą.

Gdy wypełniła Jego rozkaz, św. Jan Kanty błogosławił wodę, a ona w cudowny sposób zamieniła się w mleko.

Na pamiątkę tego zdarzenia, przedmieszczki krakowskie, wysyłając mleko do miasta, dolewają do niego stale wody".

Podwieczorek.

(Fotografia współczesna).

Godzina piąta popołudniu. W jadalnym pokoju pani radczyni rojno i gwarno. Na środku stołu wspaniała baba, sympatycznie olukrowana, obok imbryk z dymiącą kawą, który właśnie wniosła służąca, Kazia. Dookoła stołu rozsiadły się przedstawicielki płci nadobnej, przeważnie w poważnym już wieku, najmłodsza bowiem panna Bajczarska z Półwsia Zwierzynieckiego, dawno już przekroczyła czterdziestkę.

Pani radczyni napełnia filiżanki, zaczynając od pani prezesowej, której to należy się z wieku, tuszy i urzędu. Jej też dostaje się najapetyczniejszy kożuszek.

— Pani prezesowa pozwoli! — odzywa się pani radczyni, podając filiżankę gościowi.

— Dziękuję serdecznie! — odpowiada z godnością pani prezesowa, probuje, po chwili zaś rzecze. — Wyśmienita kawusia!... Szukać drugiej takiej gosposi w całym Krakowie...

— Proszę kawałeczek babeczki!... Świeżuteńka!...

— Skądże pani radczyni dostała mąki? — pyta ciekawa pani doktorowa. — Zapewne gdzieś ze wsi?...

— O nie!... — odparła zagadnięta. — To jeszcze reszta z loteryi spożywczej w Ujeżdżalni. Pani wie, że należałam do komitetu, a większość wygranych stanowiła amerykańska mąka i cukier... Ale to już resztki, nie wiem, co będzie dalej, bo jakoś na żadną loteryę się tak prędko nie zanosi!...

— Tak!... Ale o biedakach należałoby pamiętać i urządzić coś na ich rzecz w najbliższym już czasie! — dorzuciła pani mecenasowa, przenosząc spory kawał babki na swój talerzyk. — Doskonała!... W żadnej cukierni takiej nie dostanie!... Nawet z rodzynkami i czuć skórkę pomarańczową!... Już to, powiadam zawsze, z naszej pani radczyni to prawdziwa czarodziejka!... O wszystko potrafi się wystarać... Skądże rodzynki?... Muszą być ogromnie drogie?...

— O nie!... To z tego transportu, który niedawno skonfiskowano na kolei. Musiały panie o tem czytać w gazecie?...

— Tak!... — odezwało się kilka głosów, panna Bajczarska zaś wtrąciła:

— Ja już nieraz zastanawiałam się nad tem, co się też dzieje z tymi skonfiskowanymi towarami... Mówiono mi, że idą na pasek!...

— Niech pani temu nie wierzy!... Oddają je w całości instytucyom humanitarnym na użytek biednych. Ale chyba zrozumie pani, że biednym nic nie przyjdzie z takich naprzykład rodzynków, dla nich trzeba kaszy, grochu, lub coś podobnego... Jeśli się zatem ma znajomości, można czasem coś dostać... Mój kuzyn zajmuje się właśnie tym rozdziałem i o mnie czasem nie zapomina...

— Poczciwy!... Jak to dobrze, mieć takiego kuzynka!... Chciałabym go poznać!... Ja mam wprawdzie znajomego, który jest urzędnikiem w centrali skórnej, ale to człowiek nieużyty i nic od niego nie można dostać!... Ja tam nie lubię nikogo obmawiać i chyba znają mnie panie z tego, ale słyszałam, że zebrał już z pół miliona... A przed wojną był biedny, niczem mysz kościelna!...

— Oj tak, tak!... — westchnęła pani Honorata, wdowa po obywatelu ziemskim, przełykając z trudnością kawał ciasta. — Straszne czasy, moje panie!... Teraz nawet myszom kościelnym źle się wiedzie... Mój poczciwy Maciuś, pani go znają, nie wiem, czy na miesiąc złowi jedną myszkę... Kupuję mu w jatkach wątróbkę cielęcą, bo on to bardzo lubi, ale ile mnie to kosztuje?... Ci rzeźnicy, to doprawdy serca nie mają... Dopóki miałam amerykańskie kondenzowane mleko, które Hoover nadesłał dla naszych dzieci, lepiej mu się wiodło, ale teraz schudł, biedaczek, jak szczypa!... Powiadam paniom, skóra i kości!... Aż się człowiekowi na płacz zbiera...

— Ejże!... — zagadnęła jedna z uczestniczek zebrania, znana ze swych skrajnych zapatrywań, ale łaskawie tolerowana ze względu na swe szerokie znajomości i stosunki. — A może powodem owego schudnięcia co innego?... Przecież to niedawno minął marzec, karnawał koci!...

— Jak też pani może mówić coś podobnego! — obruszyła się była właścicielka dóbr ziemskich. — Mój Maciuś prowadzi się moralnie i mógłby służyć za wzór swym kolegom... Zresztą w czerwcu kończy jedenasty rok życia, to mu się już takie głupstwa nie trzymają głowy!...

— Co też pani mówi!... W starym piecu dyabeł pali!...

— To, moja pani, u ludzi, a nie u kotów!... Ja za mojego Maciusia mogę ręczyć... Nie było go wprawdzie w domu przez przeszło tydzień, ale to nie z tego powodu, co pani myśli!... Jestem pewna, że to była sprawka tych łobuzów, synów stróżki .. Oni gdzieś biedną kocinę zamknęli... Już go opłakałam, bo przywiązałam się do niego, niczem do mego męża nieboszczyka!

I na dowód, że mówi prawdę, otarła oczy chustką, potem nos i westchnęła gorąco.

— I co panie powiedzą na to pęknięcie rury? — zapytała nagle pani mecenasowa, aby przerwać milczenie, które nie licowało z tak gadatliwym zespołem towarzyskim.

— A komu pękła rura? — podchyciła panna Bajczarska. — To ciekawe, że ja o tem dotąd nic nie wiem!

— Jakto, komu?... — Całemu miastu!... Przecież przez dwa dni nie miałyśmy ani kroplę wody...

— Więc pani mówiła o rurze wodociągowej?... A ja byłam pewna, że pani jaką inną ma na myśli...

— Kłopot był bez wody — zabrała głos pani radczyni — ale trudno, trzeba się z tem

Wieczór.

On i ona już w negliżu,
Północ bije na zegarze,
On bez względu robić musi
To, co ona chce i każe.

Ona ma zaś wymagania
Kleopatry, Messaliny —
On podołać im nie może,
Spać, to jego cel jedyny.

Stoi tutaj jak skazaniec,
Rozebrany z swą poduszką
I ze strachu przed żoneczką
Radby z gustem wleźć pod łóżko!

Stoi z miną nieszczęśliwą,
Pokutniczą czy też mniszą,
Bo nietylko same szelki
Z rezygnacyą na nim wiszą!...

Ma racyę!...

— Ja panu coś powiem!... Ja jestem neutralny, to i mój syn potrzebuje być także neutralny i nie służy dlatego we wojsku... A zresztą gdzie go dać?... Do piechoty on się nie nadaje, bo chyba pan dobrodziej widział jego nogi?... Do kawaleryi też nie, bo on już jako dziecko bał się wsiadać nawet na drewnianego konika... Tren był dawniej całkiem odpowiedni dla ludzi od naszej wiary, ale go popsuli Austryaki, aseuterując psy... A pan wie, że kużdy pies to jest, z przeproszeniem pańskiej godności... antisemita... Sanitety także na nic, bo tam si można bardzo łatwo zarazić jaką paskudną chorobą...

— No a intendantura?

— Niech pan nawet nie wymówi takie paskudne słowo!... Stamtąd to już jest całkiem prosta droga do kryminału... A poco jemu się tam śpieszyć?... Jak on się ma tam dostać, to lepiej, że się to stanie później!...

Wątpliwości panny Loli.

— Ciekaw jestem, proszę paniusi, dlaczego pan Tadeusz, gdy rozmawiał z panią Telimeną w „Świątyni dumania", wziął od niej kluczyk i kartkę papieru?... Przecież w lesie, gdzie jest tyle krzaków, bez kluczyka można się obejść bardzo łatwo!... A i papier także niepotrzebny, bo na każdym kroku znajdzie się dość liści suchych i trawy!...

Bliskie pokrewieństwo.

W Resursie zabawia się grono gości grą w karty. Odchodzi naturalnie ferbel, bo udział w grze biorą przeważnie urzędnicy, a tym się zawsze spieszy.

Jeden z nich miał dziś szalonego pecha i choć grano już kilka godzin, nie wziął dotąd ani jednego „sznurka". Na dobitek miał jeszcze „kibica", który się doń przysadził i „bawił" go stale rozmową co go jeszcze bardziej peszyło.

Rozdano karty... Dwa króle, może zatem Fortuna zerknie raz przecież w jego stronę łaskawem okiem...

Siedzi, jak na rozżarzonych węglach, a tu nagle „kibic" rzuca pytanie:

— Panie!... Czy to prawda, że się pan żeni?

Wściekły, nie odpowiedział ani słowa.

Tamten powtarza zatem zapytanie, a nie mogąc się i teraz doczekać odpowiedzi, ciągnie go za rękaw...

— Tak!... Żenię się! — rzuca, aby się pozbyć natręta.

— A z kim?... — bada „kibic" dalej, aby swą ciekawość zaspokoić.

— Z d...!... — wrzasnął na to gracz, otrzymawszy w tej chwili złą kartę.

— Zapewne za indultem — niezrażony tem interpelant — bo to bliskie pokrewieństwo!



Poświęcenie sikawki.

(Od naszego specyalnego korespondenta.)

W pewnem wschodnio-galicyjskiem miasteczku odbyła się piękna uroczystość. Miejscowa Straż ogniowa ochotnicza z własnych funduszów zakupiła sikawkę i urządziła uroczyste jej poświęcenie, bo to daje sposobność bodaj do gaszenia pragnienia, gdy nie można ognia.

Na chrzciny sikawki zaproszono całą miejscową i okoliczną inteligencyę, oraz duchowieństwo wszystkich wyznań, to jest proboszcza łacińskiego i ruskiego, oraz rabina. Pierwszy odprawił przepisane modły i pokropił sikawkę proboszcz łaciński, po nim dopełnił ceremonii w przepisany rytuałem sposób paroch ruski.

Z kolei zwrócono się do rabina.

On jakoś się chwilkę wahał, jak gdyby nie wiedział, jak się zabrać do tego, potem zapytał:

— Więc to jest chrzciny?

— Tak! — odpowiedzieli członkowie komitetu.

Wtedy rabin podszedł do sikawki, wyjął z kieszeni nóż i... urznął koniec węża gumowego!...



Różnica.

Panna pyta się mężatki,
Zamężnej rok trzeci:
„Czem się różni pierwsze dziecko
Od następnych dzieci?"

Ach, odrzecze zapytana:
Pytań tych nie lubię!...
No tem, że przychodzi zawsze
Za prędko po ślubie!

pogodzić!... To, moje panie, palec Boży!... Pan Bóg się gniewa na ten motłoch, który sobie teraz na wszystko pozwala, gdy tymczasem my musimy sobie wiele odmówić... Może pani prezesowa pozwoli jeszcze kawałek babeczki?... Ręczę, że nie zaszkodzi!... A może jescze kawusi?...

— Dziękuję! — sumitowała się pani prezesowa, krając trzeci kawał babki. — Ja tam nie robię zbytków i na małem przestaję.

— A może jeszcze, która z pań pozwoli? — pytała dalej gościnna pani radczyni. Gdy jednak wszystkie przyjaciółki chciały pójść w ślady prezesowej i dać dowód, że poprzestają na małem, dodała z żalem. — A szkoda!... Taka dobra ta kawusia i przyjdzie ją do pomyj wylać...

— Służąca może wypić — zauważyła jedna z pań.

— Jeszcze czego!... — zawołała z oburzeniem pani radczyni. — Taka szląpa obejdzie się bez kawy!... Jeszcze gotowo się jej przewrócić w głowie i chciałaby może razem z nami zasiąść do stołu!... Niekoczekanie...

— Ma pani racyę! — potwierdziła pani doktorowa. — Tę hołotę trzeba trzymać w ryzach i na nic nie pozwalać, bo inaczej to nas za łeb chwycą...

— *Fi donc!...* — zabrała głos pani prezesowa. — Jakże można wyrażać się tak nieestetycznie!...

— Pani prezesowa daruje gdy powiem na me usprawiedliwienie, że ja z moją Marysią mam Krzyż Pański!... Ten szurpeć sobie za wiele pozwala, jak gdyby ona była panią domu, a nie ja!... Gdybym to jeszcze miała wobec niej jakie zobowiązania, gdyby mi zależało na jej milczeniu, to nie powiem... Ale ona nic o nim nie wie, a i tak mnie obnosi po całej kamienicy!... Mówiła mi o tem komisarzowa z drugiego piętra...

— Ma pani doktorowa racyę!... Ludzie z niższej sfery odznaczają się długimi i złośliwymi językami!...

— Tak!... Święte słowa!... — dorzuciła panna Bajczarska. — Jaka to szalona różnica między nami, a taką hołotą!... Ale szkoda sobie tem zabierać czas i psuć krew!... Sługa, rzecz to wiadoma, to wróg domowy...

— Tak!... Miałam i ja taką — zakonkludowała mecenasowa — ale się jej wnet pozbyłam, zwłaszcza, gdy zauważyłam, że mój mąż zbyt jest dla niej grzeczny i ciągle mu jej potrzeba... Na jej miejsce wzięłam Zytkę. Ma już wprawdzie z górą pięćdziesiątkę, ale do pracy się nie leni, a co najważniejsze, jest głucha!... A ja ogromnie nie lubię, gdy sługi podsłuchują!...

— O!... One są bardzo ciekawe!... — potwierdziła panna Bajczarska. — A jak co usłyszą, to dalejże po całej kamienicy, jak z jakiem piórem!...

— Co pani mówi?!... Nie po kamienicy!... Całe miasto o tem wie!... Te sklepiki, to dyabelski wynalazek!... Tam są ich kasyna i kuźnie bajek!...

— Jaka różnica między niemi, a nami! — odezwała się z powagą panna Bajczarska — Co mnie tam mogłoby obchodzić, co się dzieje u sąsiadów!... Ale byłabym zapomniała na śmierć, z czem tu właściwie przyszłam!... Czy panie słyszały, że państwo Karolowie się rozchodzą?... Ja tam bajek nie lubię i brzydzę się tem, ale mi opowiadała jedna z przyjaciółek, że on ją podobno złapał na gorącym uczynku...

— Tę przyjaciółkę pani?...

— Skądże znowu!... Swoją własną żonę!... Gdy wychodził do biura, to też do niej zaraz przybył w roli przyjaciela jakiś oficer... Pan Karol skądś się o tem dowiedział i wpada niespodzianie... I co panie na to powiedzą, zastaje...

— Pfe!... — zawołała ze zgrozą prezesowa. — Niech pani nie mówi nawet, bo to obraża moje uszy!... Musiałabym jutro iść do spowiedzi, a tylko dopiero w tamtym tygodniu!...

Każda z nas była zresztą nieraz w podobnem położeniu!...

— Bardzo proszę!... — broniła się radczyni — Ja żyję z mężem lat dwadzieścia siedm, a jeszcze nigdy nie udało mu się mnie przyłapać!... Od czegóż rozum?...

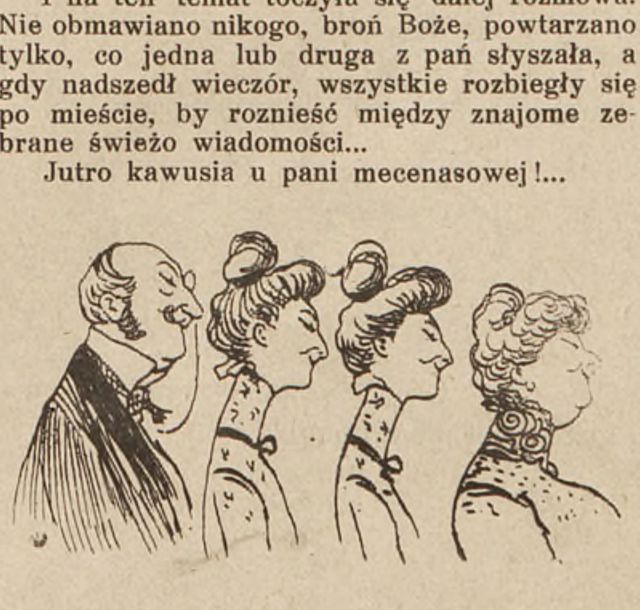
— Ani mnie!... — powtórzyły jednogłośnie mecenasowa i doktorowa. — To jednak ciekawe, co pani mówi o Karolach!... Nie słyszałyśmy o tem!...

— Widzi pani!... Ja mam zawsze wiadomości z pierwszej ręki!... Choć mieszkam na Półwsiu, wiem, co się dzieje w całem mieście. Obmawiać nie lubię, ale to może chyba oburzyć, jeśli taki skandal dojdzie do wiadomości...

Ja już dawno wiedziałam o tem, że pan Karol prowadzi się niemoralnie i zdradza żonę z jedną maszynistką z ich biura, ale cóż mnie to może obchodzić — odezwała się doktorowa. — Żona jego ma racyę, że się w ten sposób mści za niewierność!... I ja nie postąpiłabym inaczej...

I na ten temat toczyła się dalej rozmowa. Nie obmawiano nikogo, broń Boże, powtarzano tylko, co jedna lub druga z pań słyszała, a gdy nadszedł wieczór, wszystkie rozbiegły się po mieście, by roznieść między znajome zebrane świeżo wiadomości...

Jutro kawusia u pani mecenasowej!...





— Wielmożna pani ma włosy poburzone.
— Tak zwykle bywa po dobroczynnej loteryi!



Westchnienie pokojówki:
— O! gdyby w tej chwili były w tych spodniach męskie nogi!



— Stój panienko!...
— To impertynencya wmawiać w kogoś coś podobnego!



Pani: Nie rozumię cię Franiu, jak możesz z pierwszym lepszym...
Pokojówka: Przepraszam, ale mój narzeczony nie jest ani pierwszym ani lepszym!



— Jowisz, który się w byka zamienił!... Nieprawdaż żoneczko, jakie to ordynarne?...

— Zapewne!... Ty będąc Jowiszem zamieniłbyś się... w muła!...



— A więc zapiszę pani receptę!...

— A do której apteki?

— Do jubilera, tam na mój rachunek wydadzą lekarstwo.



Gospodyni (do muzyka): Czy mistrz będzie grał u nas po kolacyi?

Muzyk: O, tak!... labeta!



— Panna nie znasz mężczyznów, ale wierzaj mnie...

— Co? ja nie znam mężczyznów!... To doprawdy bolesne usłyszeć!

Ferdek Eleuteryk.



Jak kuždymu z P. T. Czytelników a w szczególnijszyj szczególności Czytelniczkom jest wiadomo, bardzo to nie klawo, jeżeli się nimo legularności. A do tygo jest konieczny kalindarz, bez którygo ani rusz. Źle się zatem stało, że na ten rok nie był się kalindarz *„Bociana“* pojawiający, bo, jak się to mówi i grypso, „fatalne nastympstwa“ tygo są na kuždym kroku widoczne.

Bez onygo kalindarza słońce wschodzi o całą godzinę póżnij, a idzie kimać wcześnij, bez co urzyndniki spaźniają się do biura, a niechtórzy to się tam nawet całkiem nie pokazują, a nikt nie jest naprowdę wiedzący, kiedy mu się jeść chce i skróś tygo łazi cały dziń, jak ów ryczący lew z Pisma świntygo, który jest niewiedzący coby pożarł. A takich „lwów ryczących i niewiedzących“ jest coraz wincyj, a lwice, czyli ich rodzone, żony mają z nimi kłopot i tyż ryczą, ale ze złości.

Z powodu braku kalindarza majistrot na początku kwietnia wydawoł biały cukier na drugą połowę stycznia i pirszą połowę lutygo, a sól na marzec. I kartkowy chlib tyż się z tygo powodu jest dostającym z opóźninem, a jak się dyligacyja głodnych zgłosi u pana pryzydenta i pokazuje swoje zapadnięte kemtyny, on się tłumaczy, że to nie jego wina. Ty mu winien ino *„Bocian“*, że kalindarza na świat nie wypuściuł i nikt nie wi, kiedy trza o czem być pamiętającym.

Bez kalindarza nie do rady, więc tyż i majistrot przypomniał w kwietniu o sprzątaniu śnigu z przed chałupy, a na lato kozoł trotuary polewać o piątyj.

Ale strugole godają, że nie wiedzą, o któryj teroz godzinie jest piąto i lotygo ani im to w głowie. Poco się zresztą mają fatygować, skoro ich w tym zastępują obewatele, wracający nad ranem do domu na kolacyją, abo na obiad.

W kwietniu kuždy też staro się o węgle na maj i czerwiec, choć kto sie bez nich obszed w zimie, do se rade i w lecie, jeżeli naturalnie brak kalindarza nie będzie znowu powodem śnigu i mrozu wtedy, kiedy powinno być gorąco, aby ludzie chodzić całkiem dekolte.

Może jednak będzie już ciepło, bo maj to my mieli już w kwietniu, ale o tym jezdem wiedzący nie z kalindarza, ino z wirsza o wiośnie. Niby się autorka cieszy, ale jojczy, że męskie skarpetki kosztują sto korun, a „gryzetki jedzą po cztyry kotlety“. Bez skarpetków można się być obchodzącym, a ciekawa rzecz, loczygo gryzetki nie miałyby fygać po cztyry kotlety (a parzypyski robią je coraz mniejsze...), jeżeli mają apetyt i znajdą frajerów, którzy im fundują.

Brak kalindarza, i to specyjalnie *„Bocianowygo“*, odbił sie i na naszych kotach. Zapomniały w tym roku a marcu i nie były w tym czasie urządzające swych głośnych moransów na dachach. Pono i im życie obrzydło, bo to i myszy coraz chudsze i coraz ich mniej, mają tyż pietra przed nowym podatkiem, jaki majistrot chce być na nie nakładający. Z psami już się załatwił, teroz mo sie ochote zabrać do kotów.

Oj te podatki!... Kuždymu one już wyłażą bokiem, a mamy ich całe zatrzęsinie, stare, nowe i jeszcze nowsze. Najgorszy zaś z nich to ten, który na obewateli nałożyli golibrody. Chcesz se spuścić z makówy wióry i cyferblat wygolić, abyś wyglądoł gładko, niczym z przyproszeniem... księżyc w pełni, to mało na to dwadzieścia marek. I to ostrzyże ci ino makówę, za inaksze miejsca każą se osobno być dopłacającym.

Czorno rozpacz mnie ogarneła, gdy przyszło wybulić tyle hopów za to, co dawnij dwa szóściele było kosztującem i zaroz mi się przypomnioł ten grecki gawer, co to chcąc być pieknym, a bojąc się, aby mu golibroda grdyki nie poderznoł, opolił sobie włosy na makówie z przodu i z tyłu rozpalonym wąglem.

Pomyślołem se zatym, że i jo tak mogę być robioncym, a ponieważ strzyżenie przypadłoby akurat na mój łeb czerwiec, poknajołem do Inspektoratu węglowygo po przydział w celach kosmetycznych.

Kręcili tam makówami, ale ostatecznie kozali mi wniść podanie na stemplu (próbowołem, ale sie na nim nie zmieści wszystko to, co chciołem nagrypsać!...), dołączyć mentrykę na dowód, że sie urodziłem, świadectwo szczepienia ospy i świadectwo moralności, niby kuli przekonanio że mom własne ognisko domowe i w nie jestem dmuchający, a nie w cudze. Po odpowiedź mom sie zgłosić za misiąc, abo i nie, jeśli nie bede mioł ochoty.

Bedą wągle, bedzie i opalenie włosów, a nie bedzie, to i tak dom se rade, ale to moja tajemnica, którą się z P. T. Czytelnikami póżnij podzielę. Jeśli golibrody myślą, że mnie obedrą ze skóry, to sie pomydlili!... Mogę im zgóry po naszymu być mówiącym: „guzik!..“ abo „w maju!...“ Jo ta nie jestem majowy i nie pozwole sie kiwać, choć teroz akurat maj!

Adje!... Dalszy ciąg o goleniu makówy i inkszych części ciała w następnym lumerze!...

Fatalne nieporozumienie.

(Autentyczne.)

Przed okienkiem kasy kolejowej na dworcu głównym we Lwowie staje jakiś poważny jegomość i, nie mówiąc ani słowa, wystawia najpierw jeden palec, potem dwa, potem wskazuje na okolicę brzucha i zaczyna całem ciałem, zwłaszcza zaś biodrami, wykonywać ruchy naprzód i w tył...

Kasyerka narobiła gwałtu, zbiegli się ludzie z różnych stron, zjawił się portyer i policyant.

Na zapytanie, co zaszło, oburzona piękność oświadcza, że ten pan zachowuje się bardzo nieprzyzwoicie i budzi publiczne zgorszenie... Obwiniony, jak gdyby tego nie słyszał, nie odzywa się ani słowa ale powtarza rez jeszcze te same ruchy z widocznem jednak zniecierpliwieniem i wskazuje na drzwi, prowadzące na peron, jak gdyby chciał dać do poznania, że się spieszy...

Portyer i policyant orzekli wobec tego jednomyślnie, że to waryat, i może daliby mu spokój, ale urzędniczka (stara panna...) zażądała, by go odprowadzono na inspekcyę.

I tak się stało!... Ochoty nie miał, ale musiał ustąpić „władzy“, która energicznie (to jest za kołnierz...) zabrała się do urzędowania.

Na inspekcyi pokazało się, że to niemowa, ponieważ zaś ani rusz nie można się było z nim porozumieć, komisarz inspekcyjny kazał mu napisać, co on tam robił takiego przy okienu, iż to panią urzędniczkę tak oburzyło.

A on napisał:

— Najpierw podniosłem jeden palec, to znaczy, że proszę o jeden bilet, potem dwa na objaśnienie, że ma być druga klasa. Z kolei wskazałem na brzuch, bo chciałem jechać do Brzuchowic, gdzie moja żona bawi przez lato!...

Komisarz pyta dalej na piśmie:

— No, a cóż miały oznaczać te dziwne ruchy ciałem naprzód i w tył?

A obżałowany odpowiedział w ten sam sposób:

— Że proszę o bilet tam i z powrotem!... Jako głuchoniemy, muszę się porozumiewać na migi, bo na pisanie nie zawsze znajdzie się czas.

Uwolniono go naturalnie od wszelkiej odpowiedzialności, ale tego dnia już nie pojechał, gdyż pociąg dawno odszedł.

Warszawa a — Kraków.

Antosia pół-artystka,
Kokota za to cała!
Już w życiu swojem wiele,
Kolei... przejechała.

Bywała w życiu swojem,
Za losów dziwnych sprawą;
Na wozie i pod wozem,
Na ławie i pod ławą!

Interwiew dla „Bociana“,
Robiłem z tą niewiastą!
I pytam które dla niej,
Najprzyjemniejsze miasto.

Specyalnie zaś odnoszę
Mej indagacyi słowa,
Do kwestyi czy Warszawę
Przekłada od Krakowa.

Obydwa miasta lubię
I znam od paru latek:
W Warszawie na *świat* przyszła
W Krakowie zaś w pół-światek!

Letnie mieszkanie.

Dyalog przy wynajmowaniu.)

— Więc powietrze jest tam dobre?

— *Aj waj!*... Jakie dobre?... Przez te dwa miesiące to pan dobrodziej może nie jeść, ani nie pić, samo powietrze wystarczy!... Goście, wracając do Krakowa, biorą sobie te powietrze do flaszek, aby mieć na póżniej, a ja za to nie żądam żadnej dopłaty, bo, Bogu dziękować, powietrza mamy jeszcze dość!...

— I kąpiel może być?...

— Dlaczego nie ma być?... Pan dobrodziej może codzień rano prosto z łóżka, nawet się nie ubierając, skoczyć do wody!... A co za woda?!... Aż szkoda się w niej kąpać, aby jej nie zabrukać!...

— Zatem jest to rzeka, czy staw?

— Jak pan dobrodziej życzy sobie, aby była rzeka, to będzie rzeka, a jak staw, to będzie staw!... U mnie musi być wszystko tak, jak szanowne goście tego żądają!

— Ja wolałbym, aby była rzeka...

— I jest akurat rzeka!... I to jaka rzeka!... Niech się Wisła przed nią schowa!...

— To dobrze!... Ale, skoro ona tak blisko domu, to co będzie, jeśli wyleje?... A w lecie to bardzo możebne!...

— Co też pan dobrodziej mówi!... Co ma być?... Gdzie ten dom, a gdzie ta rzeka?... Od domu do niej, to jest więcej, jak pół mili, a zresztą w lecie to ona całkiem wysycha!... Pan dobrodziej może być zupełnie spokojny!...

Z ludzkiej zoologii.

Przyjaciel domu i pięknej pani
Skrada się na wzór lisa lub węża,
A zawsze chwilę obiera taką,
Aby przypadkiem nie zastać męża!

W samopoczuciu swego ryzyka
Spogląda trwożnie na wszystkie kąty,
Lecz bądź spokojnym! Mąż wraca z klubu
Z rana zazwyczaj około piątej.

A piękna pani nudzi się srodze,
Nie dziw! przez męża zaniedbywana
I z przyjacielem domu czas spędza
Zwykle do piątej mniej więcej z rana!

Przyjaciel domu cicho się skrada
Na upatrzoną ofiarę z góry,
Na wzór chytrego lisa lub węża,
Który się skrada do obcej dziury!



Z listów Hermogenesa Klapy.

Przewielebna Redakcyo!

Pokazuje się, że do Ameryki łatwo przyjechać, ale opuścić ją trudno!... Siedzę dotąd w Nowym Jorku (ale nie w kryminale!..), bo teraz wziął mnie znów z kolei w opiekę pan Hoover i nie chce mnie puścić, by mi w ten sposób dać dowód swej wdzięczności za przywiezienie dyplomu doktora medycyny krakowskiego Uniwersytetu. Powiedział mi wyraźnie, że jedynem jego pragnieniem jest, bym zachorował, a on mógł mnie leczyć.

Spraszałem się, mówiąc, że mam dobrą, a nie przymuszoną wolę zejść z tego świata naturalną śmiercią, to jest bez lekarskiej pomocy, ale to na nic się nie zdało. Pozatem potrzebuje mej pomocy, gdyż, jak Wam wiadomo, stara się wysadzić Wilsona z prezydyalnego stolca i sam go zająć.

Podczas wręczenia dyplomu przeprosiłem go, że nie występuję, przybrany w łańcuch rektorski lub choćby dziekański, ale to wina nie moja, lecz złodzieja, który łańcuch ukradł i dotąd się nie zgłosił, a policya nie ma czasu go szukać, zajęta paskarzami.

Przy tej sposobności zwrócił Hoover moją uwagę, że należałoby honorowy doktorat nadać Loyldowi George'owi, bo to chłop ambitny i gotów się obrazić, że o nim zapomniano. Obiecałem pomówić o tem po powrocie do Krakowa z kim należy, zauważyłem jednak:

— Taki zaszczyt to nagroda za zasługi, on ich zaś względem nas mało ma na sumieniu!...

— Jednak znajdują się jakieś! — on mi na to. — Niech pan tylko pomyśli nad tem!... W takiej mądrej głowie, jak pańska, wylęgnie się z pewnością niezgorszy projekcik.

Ukłoniłem się pięknie, dziękując za komplement, poczem rzekłem:

— Jak się da, to się zrobi!... Ale sęk, a w tym sęku dziura: jaki mu nadać doktorat!... Wilson został doktorem praw, bo układał traktat pokojowy, pan, doktorem medycyny, gdyż zajętym byłeś przy rozwiązaniu aprowizacyi europejskiej... Jakiż jemu nadać?

— W tem już twoja głowa, nie moja, kochany panie Klapa!

— Wiem już! — zawołałem z tryumfem, nie mniejszym, jak Kolumb, gdy mu jajko stanęło. — Wiem!... Zrobi się go doktorem teologii!...

— Teologii?

— Tak!... Trzeba panu wiedzieć, że nasza religia uczy, iż są trzy cnoty teologiczne: wiara, nadzieja i miłość. A Lloyd George ćwiczy nas właśnie w tych cnotach. Każe nam wierzyć, że działa tylko w naszym interesie, mieć nadzieję, że będzie kiedyś lepiej i uczy miłować nieprzyjaciół...

— Gdybyście potrzebowali skóry na dyplom, mogę wam przy sposobności posłać jakiego amerykańskiego osła...

— Dziękuję!... U nas osłów nie brak. Moglibyśmy je nawet wywozić za granicę, gdyby nie to, że istnieją jakieś tam przepisy, utrudniające ruch osłów...

— Ale zato różne misye was odwiedzają!

— Bo do nich te przepisy się nie stosują!... Kto jedzie koalicyjnym pociągiem, ten ma specyalne przywileje!...

Hoover dopytywał się ciekawie, czy mi smakowała amerykańska mąka, smalec, słonina, mleko kondenzowane, czy ubranie, które mam na sobie, nie pochodzi z darów amerykańskich.

— Nie! — odpowiedziałem. — Do rzędu obdarowanych nie należę, bo do tego trzeba mieć protekcyę i szczęście, a mnie — i tego tamtego brak!... Z zapasów nadesłanych z Ameryki dostałem figę...

— Fig, o ile pamiętam — rzekł po namyśle — nie wysyłałem wam wcale!...

Jak z tego Redakcya może wywnioskować, między mną a panem Hooverem panuje najzupełniejsza harmonia, co na bieg wypadków może mieć wpływ decydujący. Gdyby zaś został prezydentem Stanów, jestem pewny, że odbiłoby się to i na naszej skórze, ale w sposób dodatni, gdyż on nas bardzo kocha, tak, jak zresztą każdy Amerykanin, który wie, że w Polsce opłaci się lokować swe kapitały. Pomagam mu zatem, aby wylazł szczęśliwie z urny, ale to będzie trudno, bo ja nie rozumię wyborów bez kiełbasy, a co ona warta, gdy nie można popić przed nią, dla nabrania apetytu, a po niej, dla tem pewniejszego strawienia, bo i tutejsi masarze są nieprzyjaciółmi koni i mordują je bez litości.

Ja tam daję sobie radę!... Hoover, jako doktor medycyny, wystawił mi świadectwo, że jestem ukąszony przez grzechotnika, a tacy mogą w aptece nabywać pocieszycielkę utrapionych.

Miałem, co prawda, jechać stąd prosto do Borysowa na rokowania pokojowe z bolszewikami i już bałem się, że się spóźnię, gdyż miały się zacząć 10. kwietnia. Wilson prosił mnie, bym mu stamtąd nadesłał dokładne sprawozdanie, bo telegramom agencyi, nawet rządowych nie wierzy. Widocznie więc szwankuje nie tylko nasz warszawski PAT (co się czyta: „Popsuty aparat telegraficzny").

W sam czas przecież zajrzałem do kalendarza, z którego przekonałem się, że 10. kwietnia wypada na sobotę i to w samo zakończenie świąt Paschy, a te żydzi, jak wiadomo, obchodzą bardzo skrupulatnie. Pomyślałem sobie zatem, że nici będą z tego, i tak się stało. Do Burysowa nie przyjechał ani Bronstein, ani Silberzweig, ani Sobelsohnn, ani Finkelstein, ani Nicbańnkes, ani żaden inny przedstawiciel „rosyjskiego ludu pracującego" (...„w pasku"... przyp. zecera). Cziczerin obraził się w ich imieniu, że nie uszanowano ich świąt i dał temu wyraz w swej nocie, skarżąc się przed koalicyą na niekulturalność Polaków.

Gdy jeden z ambasadorów zwrócił z tego powodu uwagę ministra Patka, ten odpowiedział podobno, że przyznaje się do winy, ale tylko o tyle, iż przed układaniem odpowiedzi nie zajrzał do kalendarza.

Na owe narady pokojowe z pewnością się nie spóźnię, bo one tak prędko nie dojdą do skutku, żal mi natomiast, że nie mógłem być w dnin 21. kwietnia na morzu razem z Marconim, gdy rozmawiał z Marsem.

Przebieg tego zdarzenia był, wedle pism amerykańskich, następujący:

W dniu 21. kwietnia Mars zbliża się najbardziej ku ziemi, zatem Marsoni postanowił skorzystać ze sposobności i pogadać sobie z nim na seryo. Siadł zatem na okręt z telegrafem bez drutu i z majtkami i popłynął na morze.

Gdy już byli najbliżej Marsa, nagle aparat telegraficzny zaczął dawać jakieś znaki...

— Depesza z Marsa!... — zawołano — i dalejże czytać!...

I czytają i oczom nie wierzą!... Aparat wykazuje czarne na białem w najczyściejszej włoszczyźnie (choć trochę z „brodzkim akcentem", te słowa:

Nos do ula, będzie kula!...

— *Eviva Italia!* — wrzasnął Marsoni, a za nim inni. — Jasny dowód, że na Marsie są Włosi, że to nasza kolonia...

I wrócił na ląd, aby o tem wygłosić odczyt, ale tam się dowiedział, że aparat jego przejął przypadkowo depeszę iskrową d'Annunzia z Rjeki do Nitti'ego. Była to odpowiedź na upomnienie rządu włoskiego, aby dał spokój polityce, a zabrał się do poezyi.

Wszystko ma swój koniec — choć pan Kindermeth twierdzi, że to nieprawda — zatem musi się skończyć i mój pobyt w Ameryce. Jutro siadam na okręt i jadę wprost do San Remo, skąd, jeśli mnie w drodze nie potknie jaki wieloryb, nadeślę list następny.

Z amerykańskiem pozdrowieniem!

Klapa.

P. S. Nauczyłem się boksować!... Urządzę *match* w Krakowie za powrotem. Ogłosić przedtem, że płacę 5000 dolarów każdemu, kto mnie nie położy!...



Krótkowzroczny pan profesor.

Pan profesor miał wzrok bardzo krótki i nieraz mu się z tego powodu zdarzyło, że na Błoniach ukłonił się krowie, biorąc ją za znajomą panią i naodwrót, spotkawszy tamże żonę swego kolegi i „zawadziwszy" o nią, mówił do siebie z irytacyą:

— Ani rusz przejść się swobodnie!... Te wstętne krowy włóczą się tak samopas...

Niedawno odwiedził pan profesor swych przyjaciół, stosunkowo młode małżeństwo. Pani domu musiała się naturalnie pochwalić swym pierworodnym synem, mającym zaledwie kilka miesięcy, Ale mały Jaś (tak mu było na imię!...) nie był właśnie przy humorze, a że miał temperament, skopał ze siebie kołderkę i obrócił się do góry... odwrotną stroną medalu.

Schyliwszy się nad kołyską, ale nie dojrzawszy owej... zmiany frontu, poklepał pan profesor z uczuciem malca, jak mu się zdawało, po policzku i rzekł do szczęśliwej mamy:

— Nadzwyczaj miłe bobo!.. Rysy zupełnie pani dobr dziejki... Chętnie ucałowałbym malca w ten tłusty policzek, ale się boję, aby się odemnie nie zakatarzył... A ta łysinka, to wykapany tatuś!...

— Oj!... Ma profesor racyę, że wykapany!... W trzecim roku naszego małżeństwa doczekaliśmy się dopiero jego przyjścia na świat...

— Jaka szkoda!... Gdyby mi małżonek dobrodziej był powiedział wcześniej, albo pani dobrodziejka, byłbym pomógł!... — rzekł na to profesor, aby coś przecież powiedzieć.

Vice versa.

Mam zdolności spostrzegawcze,
Śmiem pochlebiać sobie — duże,
Podsłuchałem dwuch przyjaciół
I rozmowę ich powtórzę.

— Cóż nie bywasz u radcostwa,
Miałeś się tam żenić pono?
— Co? z ich córką, idź-że głupi!
Taka gąską!... moją żoną?

No to przyznaj ostatecznie —
Ojciec kiepskie ma cygara,
Córka wprawdzie jest niebrzydka,
Lecz jeść podle daje stara.

No — i bywać tam przestałem,
Czyż zrobiłem nierozumnie?
Więc zerwałeś? niezupełnie,
Teraz córka bywa u mnie!

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Karczmarskiego.



MĄŻ: Gości co nie widać, a tyś jeszcze nie gotowa?
ZONA: Przeciwnie!... już mogą wchodzić!